Anatomia buntu: establishment, media i polskie realia

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł stanowi wnikliwą analizę współczesnego establishmentu, przedstawionego jako systemowy mechanizm kontroli i selekcji elit. Autor wyjaśnia rolę 'strażników wrót' w kształtowaniu debaty publicznej oraz proces 'tresury' obywateli. Tekst rzuca światło na kryzys zaufania do instytucji medialnych i akademickich, omawiając zjawiska takie jak propaganda czy kultura unieważniania. Szczególną uwagę poświęcono polskim realiom: patologiom list partyjnych, upolitycznieniu wymiaru sprawiedliwości oraz strukturom głębokiego państwa. To kluczowa lektura dla osób chcących zrozumieć, jak brak przejrzystości procedur i biurokratyczny paraliż napędzają współczesne ruchy buntownicze przeciwko zastanemu porządkowi społecznemu.

This article provides a thorough analysis of the contemporary establishment, presented as a systemic mechanism for controlling and selecting elites. The author explains the role of 'gatekeepers' in shaping public debate and the process of 'training' citizens. The text sheds light on the crisis of trust in media and academic institutions, discussing phenomena such as propaganda and invalidation culture. Particular attention is paid to Polish realities: the pathologies of party lists, the politicization of the justice system, and the structures of the deep state. This is crucial reading for those seeking to understand how a lack of procedural transparency and bureaucratic paralysis fuel contemporary rebellions against the established social order.

Artykuł analizuje mechanizmy działania establishmentu, rozumianego jako „ustanowiony porządek społeczny”, który selekcjonuje i tresuje jednostki, ograniczając wolność debaty i pluralizm. Autorzy demaskują hipokryzję elit, krytykują media jako narzędzie propagandy i obnażają ideologiczne zapędy uniwersytetów, jednocześnie wskazując na konieczność zachowania wolności słowa i krytycznego myślenia. Teza artykułu brzmi: polska demokracja,

podobnie jak amerykańska, cierpi na patologie takie jak nepotyzm, korupcja i brak transparentności. Artykuł proponuje konkretne rozwiązania naprawcze, w tym jawność procedur, obowiązek prawyborów, reformę mediów publicznych i likwidację progu frekwencyjnego w referendach. Celem jest oddanie władzy obywatelom i demontaż mechanizmów, które ograniczają ich wpływ na państwo, co ma szansę wyzwolić obywateli z roli biernych obserwatorów i uczynić ich aktywnymi uczestnikami życia publicznego.

SŁOWA KLUCZOWE

establishment | strażnicy wrót | media publiczne | głębokie państwo | wolność słowa | cancel culture | listy partyjne | kompromat | trójpodział władzy | pluralizm | przejrzystość procedur | nepotyzm | biologia płci | propaganda | mechanizm buntu

Establishment: strażnik granic dopuszczalnej debaty

Establishment to nie demon ani mem, lecz „ustanowiony porządek społeczny". Słowo to brzmi niewinnie, niczym bibelot na komodzie, dopóki nie zajrzymy do jego skrzynki z narzędziami. Wtedy okazuje się, że to „grupa kontrolująca", czyli strażnicy wrót. To oni kalibrują obieg, decydując, kogo wpuścić do środka, a kogo pozostawić przed bramą, choćby wykazywał się wybitnym talentem i pasją. Adams i inni jedynie doprecyzowują tę definicję, pokazując, że establishment nie tylko selekcjonuje – on tresuje. Patriotyzm nazywa wulgaryzmem, wyjątek – aberracją, a obywatela postrzega jako „szprychę w kole". W polskiej wersji mechanizm ten rozumiemy bez instrukcji obsługi. Wystarczy zobaczyć, kto naprawdę nadaje ton debacie: nie ci wybierani, lecz ci „wybierający" z redakcji, festiwali, funduszy, think tanków i towarzystw wzajemnej adoracji. Różnica sprowadza się do skali i rekwizytów. W USA strażnik nosi garnitur skrojony z sieci powiązań i indeksu Hirscha, u nas zaś występuje w todze, sutannie albo marynarce z przypiętym uśmiechem.

Hollywood i media: fabryka narracji politycznej

To jest rozdział, który polski czytelnik smakuje z upodobaniem, bo któż z nas nie lubi patrzeć, jak świętym krowom rdzewieją aureole? Adams z Ericksonem bezlitośnie demontują teatr „ekologii z pokładu odrzutowca" i „pacyfizmu w filmach pełnych broni", przypominając, że przemysł emocji uczy nas polityki poprzez łzawe monologi i czerwone dywany. Krytyka bywa brutalna, lecz jej mechanizm jest prosty. Celebryta nie staje się autorytetem poznawczym z racji symetrycznej twarzy i talentu do pozowania. Gdy

rości sobie prawo, by dyktować moralność klasie średniej, włącza się nasz narodowy odruch ironii i pytanie: ile kosztowała suknia, w której pouczasz o ubóstwie? Owszem, hipokryzja działa po obu stronach, ale skala hollywoodzkiego megafonu sprawia, że jej dudnienie przetacza się przez Atlantyk. W Polsce to nie gala Oscarów, lecz krajowy panteon list przebojów i seriali, gdzie „przesłanie" bywa podszyte marketingiem, a moralne wzmożenie zbiega się z premierą płyty. Adams nie musi nas przekonywać. Znamy ten mechanizm.

„Media to ramię propagandy" — takie zdanie działa jak łom, ale łomem nie da się zbudować zaufania. Dlatego warto zejść do warsztatu liczb i mechanizmów. Relacje o pierwszych stu dniach prezydentury Trumpa były w wielu stacjach przytłaczająco negatywne. To fakt zmierzony, policzony, udokumentowany. Jednak negatywny odczyt nie jest automatycznym dowodem spisku. Może wskazywać na logikę newsa (konflikt sprzedaje się lepiej), kulturową stronniczość, logikę rynkowej rywalizacji albo po prostu na prezydenturę, która seryjnie generowała kontrowersje. Zadanie dla mediów: oddzielić krytykę od kampanii, a błąd od kłamstwa. Zadanie dla obywatela: nie zastępować myślenia plemienną lojalnością. Zadanie dla polityków: nie tłuc termometru, gdy pokazuje gorączkę. Kiedy były szef FBI James Comey, zeznając w Senacie, prostuje artykuł jako „niemal całkowicie błędny", widzimy granice reporterskiej swady. Lecz gdy polityk lansuje hasztag zrównujący wszystkie media z „fake newsami", wykręca kluczową śrubę z mechanizmu demokracji — minimalne zaufanie do instytucji opisujących świat. Polska wersja tego problemu jest aż nadto znajoma. Media publiczne, prywatne i „społeczno-partyjne" ciągną wóz w przeciwne strony, a obywatelowi pozostaje żmudne zliczanie spinów. Nie chcemy tu wojny amerykańskich stacji kablowych. Chcemy pluralizmu, który opiera się na twardym kodeksie dowodowym.

Uniwersytety: cenzura ideologiczna niszczy wolność słowa

Adams i Erickson stawiają uniwersytet pod pręgierzem, kreśląc obraz od stref „wolnego słowa" odgrodzonych niczym kojec, po wiece zamieniające debatę w jarmarczny wrzask. Ich diagnoza jest ostra, celowo prowokacyjna, lecz nie wzięła się z próżni. To echo wieloletniej wojny o granice ekspresji na kampusach, w której brakuje jednoznacznie pozytywnych bohaterów. W tym sporze wybrzmiewają jednak dwa pytania, które w Polsce uderzają w czuły nerw. Pierwsze: czy uniwersytet może być kuźnią wolnej myśli, jeśli rytualnie unieważnia niewygodnych mówców, a zamiast argumentów używa stempla z napisem „nienawiść"? Zawsze, gdy pojęcie traci granice, ktoś zyskuje władzę, by je dorysować flamastrami. Drugie: czy można zahartować charakter, jeśli w imię emocjonalnego kokonu szlifuje się młodym wszystkie ostre krawędzie rzeczywistości? Odpowiedź musi być klasycznie liberalna, oparta na prostym mechanizmie. Tak, bronimy ludzi, ale nie izolujemy idei od krytyki. Tak, chronimy godność, lecz nie kosztem zamrażania debaty w formalinie. Jeśli Berkeley to „kolebka wolności słowa", niech nie zamieni się w jej skansen. Jeśli

Warszawa aspiruje do bycia „kampusem regionu”, niech nie stanie się manufakturą konformizmu. Czy Adams i Erickson przesadzają z dramaturgią? Być może. Ale dzwon, w który biją, wisi po właściwej stronie. Wolność słowa nie rdzewieje od ciszy. Zaciera się od hałasu, który zwalnia z obowiązku myślenia.

Deep state: nieformalne ośrodki władzy w USA i Polsce

Pojęcie „głębokiego państwa” cierpi na własną popularność. Dla jednych to tylko spiskowa fantazja, dla drugich – trzeźwa diagnoza bezwładu biurokratycznych mechanizmów. Adams używa go niczym warsztatowego reflektora, by oświetlić niepochodzące z wyboru struktury, które potrafią zablokować wolę wyborców poprzez kontrolowane wycieki, sabotaż procedur czy cichy opór „resortowych rodzin”. W polskich realiach to żadna egzotyka. Każdy, kto zderzył się z administracją pamiętającą naraz trzy porządki prawne i spór o definicję „służebności”, kiwa głową ze zrozumieniem. Instytucje mają bowiem pamięć trwalszą niż kadencje polityków. Pytanie jest więc fundamentalne: jak oddać władzę obywatelom, nie amputując państwu instytucjonalnego mózgu i nerwów? Odpowiedź jest równie konkretna: poprzez radykalną przejrzystość procedur, jawne kryteria awansu i horyzontalną kontrolę nad przepływem danych. Głębokie państwo kocha półmrok. Odsłonięte – słabnie.

Biologia i logika: fundamenty w sporze o tożsamość płci

Autorzy wchodzą w otwarty spór. Stawiają tezę jednoznaczną: biologia determinuje płeć, a przenikanie kategorii gender do kultury, prawa i przestrzeni akademickiej to precyzyjny projekt establishmentu. Sięgają przy tym po raport „Sexuality and Gender” Mayera i McHugh – dwóch lekarzy, którzy poddali szczegółowej analizie literaturę naukową i orzekli: najbardziej rozpowszechnione slogany tożsamościowe nie znajdują wystarczającego potwierdzenia w danych. Niezależnie od radykalizmu przyjętej perspektywy, warto zapoznać się z tekstem źródłowym. Jest to język analizy, a nie manifestu. Nie ma on charakteru memicznego; stanowi próbę doprecyzowania mechanizmu, w którym Twitter utrudnia uważną lekturę.

Przywołajmy zatem fakt demograficzny, który w tej dyskusji bywa punktem zapalnym, a powinien być traktowany jako obiektywny wskaźnik. W 2016 roku szacunki Instytutu Williamsa wskazywały, że około 0,6% dorosłych Amerykanów identyfikuje się jako osoby transpłciowe. Nowsze dane pokazują wzrost do blisko 0,8% wśród dorosłych i, co istotniejsze, do około 3,3% w grupie młodzieży w wieku 13–17 lat. Nie jest to szum statystyczny. To sygnał, że zjawisko istnieje, jest mierzalne i zmienia dynamikę instytucji. Dyskusja o prawach i standardach nie wymaga zatem emocjonalnej retoryki, lecz precyzyjnej kalibracji między ochroną mniejszości a stabilnością norm prawnych i społecznych. W polskim kontekście nie jest to

debata abstrakcyjna, lecz konkretna: dotyczy programów szkolnych, standardów medycznych, polityki uniwersytetów oraz orzecznictwa sądów. Decydenci nie powinni chronić się w bezpiecznych bańkach ideologicznych. Mają oni bezwzględny obowiązek rzetelnej analizy źródeł.

Donald Trump 2016: bunt przeciwko dyktatowi elit

Adams stawia diagnozę bez znieczulenia. Amerykański wyścig do Białego Domu to maraton napędzany miliardami, w którym „prawdziwi ludzie" kończą na poboczu, uzbrojeni jedynie w transparent i marzenie. Zwycięstwo Trumpa z 2016 roku autorzy traktują jako erupcję buntu, kwintesencję amerykańskości i dowód, że outsider potrafi przeorać cały system. Oczywiście, zaraz usłyszymy znajomy refren, że „ankiety pokazują, media mówią". Cóż, media mówiły rzeczy rozmaite, lecz dane mówią same za siebie. Gdy badacze z harvardzkiego Shorenstein Center przeanalizowali wydźwięk relacji w pierwszych stu dniach prezydentury, okazało się, że dominowała krytyka, w niektórych redakcjach wręcz miażdżąca. Trump był tematem 41 % wszystkich materiałów, czemu towarzyszyła bezwzględna przewaga negatywnych ocen. Te dane nie powstały w sztabie wyborczym, lecz w laboratorium – bliżej im do probówki niż do wiecowej trybuny.

I tu zaczyna się lekcja dla Polski. Nasze „wybory powszechne" coraz częściej przypominają casting, którego wynik ustalono dawno za kulisami. Nie wystarczy mieć racji, trzeba mieć megafon, który zagłuszy resztę. Nie wystarczy mieć programu, trzeba mieć narratora, który go sprzeda. Jeżeli Ameryka uczy nas, że dobrze skonstruowana opowieść potrafi wygrać z pieniędzmi, to niech nauczy nas jeszcze jednego. Opowieść bez instytucjonalnej ramy, bez solidnych sworzni trzymających ją w ryzach, po prostu wyparuje przy pierwszej politycznej burzy.

Patologie systemowe: bariery blokujące polską demokrację

Nie trzeba grzebać w archiwach z lat dziewięćdziesiątych, żeby poczuć zapach gangreny. Współczesna polska polityka to laboratorium absurdów, które samo w sobie powinno stać się przedmiotem badań klinicznych. Zamiast jednak pisać kolejny raport dla OECD, weźmy skalpel i z chirurgiczną precyzją przeanalizujmy te ropiejące wrzody, jeden po drugim.

Listy partyjne to demokracja w wersji gotowej playlisty. Wybory przypominają dziś bardziej selekcję utworów w serwisie Spotify niż świadomą decyzję obywateli. Owszem, klikamy w nazwiska, ale poruszamy się w ramach listy ułożonej przez partyjnego wodza. To nie jest demokracja, to casting, w którym o miejscu na afiszu decyduje lojalność wobec reżysera, a nie talent czy kompetencje. W efekcie parlament zapełniają

ludzie, którzy nigdy nie musieli odpowiadać przed konkretnym wyborcą, ponieważ zawsze mogą schować się za partyjnym szyldem. Przecież w liberalnym systemie mandat jest osobisty, a nie na wynajem.

„Likwidacja" mediów publicznych przypomina raczej wymianę szyldu na tym samym gmachu niż faktyczny pogrzeb propagandowego potwora. Prawda jest brutalnie prosta: dopóki media publiczne finansuje partia u władzy, pozostaną one jej tubą, niezależnie od tego, kto akurat trzyma w ręku pilota. To nie jest likwidacja, to recykling tej samej patologii. Obywatel, czy to poprzez podatki, czy w formie abonamentu, płaci za regularne pranie własnego mózgu.

Progi referendalne sprawiają, że demokracja bezpośrednia w Polsce jest trzymana na krótkiej smyczy. Wymóg pięćdziesięcioprocentowej frekwencji w kraju, w którym obywatele masowo bojkotują plebiscyty jako partyjne ustawki, to próg zaporowy, a nie mechanizm kontroli. W rezultacie, nawet jeśli społeczeństwo chce zabrać głos, system knebluje je matematycznym absurdem. To tak, jakby lekarz uzależniał powodzenie operacji od tego, czy w poczekalni zjawi się połowa wszystkich pacjentów z miasta.

Finansowanie partii z budżetu miało być szczepionką na korupcję, a stało się kroplówką dla politycznego lenistwa. Partie nie muszą już walczyć o obywateli ani sponsorów, ponieważ mają zapewniony stały dopływ gotówki. To dożylne finansowanie utrzymuje przy życiu nawet najbardziej anemiczne organizmy, niezależnie od ich jakości, tworząc system, w którym kampanie są droższe, a układów wcale nie ubywa. Budżetowe pieniądze i tak przepływają bowiem przez zaprzyjaźnione firmy, fundacje i agencje PR.

Przywileje kościelne pokazują państwo na klęczniku. Fundusz Kościelny, ziemia oddawana za bezcen, ulgi podatkowe i etaty kapelanów w każdej możliwej służbie – państwo polskie wciąż zachowuje się jak lokaj instytucji, która w świeckiej republice powinna być partnerem, a nie właścicielem. Absurd pogłębia fakt, że Kościół, zamiast tonować swoje roszczenia, sam nakręca spiralę politycznej protekcji. To nie konkordat, to klientelizm ubrany w sutannę.

Rozkład władzy sądowniczej zamienił sędziów w pionki na politycznej szachownicy. Trójpodział władzy istnieje dziś głównie w podręcznikach do wiedzy o społeczeństwie. Politycy bezwstydnie manipulują sądami, obsadzając kluczowe instytucje swoimi ludźmi. Obywatel, zamiast widzieć Temidę z opaską na oczach, patrzy na aktora w kostiumie, odgrywającego rolę w politycznym teatrze. Efektem jest całkowita erozja zaufania do wymiaru sprawiedliwości.

Połączenie władzy

Nepotyzm i klientelizm: korozja zaufania do instytucji

Nie oszukujmy się, polska polityka nie jest elegancką orkiestrą symfoniczną. To raczej remizowa orkiestra dęta, w której każdy dmucha, jak umie, a dyrygent trzyma batutę w kieszeni marynarki od sponsora. Nepotyzm, klientelizm, karierowiczostwo – trzy duchy nawiedzają każdy gabinet, od rady gminy po sejmowe ławy. W tle czai się jednak czwarty, znacznie groźniejszy: kompromat, czyli władza sprawowana szeptem, za pomocą archiwów i pendrive'ów. W takim świecie potrzebujemy modułów praktycznych, które nie są kolejną deklaracją „walki z układami", lecz realnym zestawem narzędzi do demontażu tego mechanizmu.

Na polskich uczelniach i w przestrzeni publicznej knebel nie ma wyłącznie postaci cancel culture. Znacznie częściej przybiera formę telefonu z ministerstwa z uprzejmą sugestią, by „dla dobra sprawy" odwołać niewygodny wykład. Czasem objawia się jako sponsor, który delikatnie daje do zrozumienia, że jeśli student napisze o nepotyzmie w radzie nadzorczej, strumień grantów wyschnie. Dlatego Karta Wolnego Słowa musi w Polsce zyskać dodatek antynepotyczny. Każde odwołanie debaty czy spotkania powinno być publikowane wraz z jawnym powodem, podpisem decydenta i listą osób interweniujących. Koniec z mgłą „trudności organizacyjnych" i zasłoną „względów bezpieczeństwa". Niech wszyscy zobaczą, kto naprawdę boi się dyskusji, bo taki publiczny rejestr to najlepsze lekarstwo na kompromaty. Światło. [Zbieżność z nazwiskiem przypadkowa]

Polskie media to często satelity partii politycznych albo wielkiego biznesu, a ich redakcje żyją z kontrolowanych wycieków. Taki wyciek to nierzadko kompromat w eleganckim garniturze, podany jako dziennikarskie śledztwo. Potrzebna jest zatem twarda Matryca Przejrzystości, która wymusiłaby fundamentalne zmiany. Źródło posługujące się kompromatem nie mogłoby pozostać anonimem bez opisu własnego interesu; jeśli polityk dostarcza teczkę na konkurenta, należy to oznaczyć jako informację od „źródła związanego z partią X". Co więcej, raporty o błędach redakcji musiałyby zawierać także przyznanie się do ulegania szantażowi. Jeśli dziennikarza zmanipulowano, miałby on obowiązek ujawnić ten mechanizm. Wreszcie, rozdział komentarza od faktu musiałby stać się bezwzględny, bo dziś kompromat żeruje właśnie na tej granicy, gdzie plotkę sprzedaje się jako „nasze ustalenia". Bez samooczyszczenia media pozostaną narzędziem w rękach tych, którzy prowadzą księgowość haków, a to nie ma nic wspólnego z dziennikarstwem.

Może to zabrzmieć paradoksalnie, ale w Polsce definicje płci i tożsamości stały się walutą polityczną. Partie rozgrywają temat gender niczym kartę przetargową, z jednej strony obiecując „ochronę dzieci", z drugiej kusząc „europejskimi standardami". Problem w tym, że brak jasnych definicji prawnych pozwala każdemu ugrupowaniu sprzedawać własną, instrumentalną wersję. Dlatego potrzebny jest Słownik Ustawowy, który wprowadziłby porządek. „Płeć biologiczna" otrzymałaby definicję medyczną, „tożsamość płciowa" –

psychologiczną i społeczną, wraz z klarowną ścieżką jej uzgodnienia, a „dyskryminacja” zostałaby zdefiniowana jako nierówne traktowanie, a nie mylona z prawem do krytyki. Gdy prawo stanie się jednoznaczne, politycy stracą możliwość używania tego tematu jako wiecznego kompromatu moralnego, a obywatele przestaną być zakładnikami medialnych wojenek.

Mówimy „

Jawność finansów: klucz do przejrzystości życia publicznego

Zdiagnozowaliśmy gangrenę, teraz pora na amputację i montaż protez, które pozwolą demokracji chodzić prosto, a nie kuśtykać od afery do afery. To nie są sny utopisty, lecz zestaw narzędzi wyjęty z dobrze zaopatrzonego warsztatu. Te mechanizmy istnieją w innych państwach, a Polska mogłaby je wdrożyć jutro, gdyby tylko ktoś miał odwagę przestać grać w teatrzyk kompromatów i zacząć dokręcać poluzowane śruby systemu.

Partie układają listy jak didżeje playlisty – kto głośniej klaszcze wodzowi, ten dostaje lepszy czas antenowy. Rozwiązanie? Konstytucyjny obowiązek prawyborów, kluczowy sworzeń w mechanizmie selekcji. Każdy kandydat na posła musiałby przejść przez transparentne, publiczne, najlepiej cyfrowe głosowanie członków partii lub obywateli zarejestrowanych w okręgu. Wyniki byłyby jawne, a listy układane automatycznie na podstawie poparcia, co kończyłoby erę „jedynek” dla pupili prezesa. Amerykanie od ponad wieku stosują system primaries, Niemcy mają obowiązkowe głosowania wewnętrzne, a Estonia eksperymentuje z cyfrowym doborem kadr. Polska wciąż tkwi w epoce feudalnej nominacji.

Hasło „likwidacja TVP” to kosmetyka, która nie dotyka istoty problemu. Trzeba wymienić całe DNA tej instytucji, wzorując się na modelach BBC czy ARD. Finansowanie powinno być mieszane – abonament oraz budżet, ale z żelazną gwarancją ustawową – a zarząd wybierany w otwartych konkursach z udziałem organizacji społecznych, nie polityków. Należy wprowadzić całkowity zakaz reklam politycznych i obowiązek równego czasu antenowego dla wszystkich ugrupowań. Co więcej, media narodowe powinny mieć obowiązek prowadzenia publicznego portalu fact-checkingowego, który weryfikuje wypowiedzi polityków, zwłaszcza rządzących. Dopiero wtedy „publiczne” zacznie znaczyć wspólne, a nie partyjne.

Wymóg 50-procentowej frekwencji w referendum to ponury żart, który skutecznie kastruje jedno z najważniejszych narzędzi demokracji bezpośredniej. Należy znieść progi frekwencyjne, uznając wynik za ważny, jeśli głosowało np. więcej niż 10% uprawnionych. W Szwajcarii nikt nie boi się, że decyzje podejmuje mniejszość, ponieważ referenda są częste i traktowane jako normalny element życia publicznego.

W Polsce lepiej mieć 30% obywateli, którzy świadomie decydują, niż 100%, którzy z rezygnacją machają ręką na całą procedurę.

Subwencje budżetowe dla partii mogą zostać, ale pod jednym, żelaznym warunkiem: pełnej transparentności. Wymaga to jawnego rozliczania wydatków co kwartał, publikowanego w formacie otwartych danych, które każdy może przeanalizować. Partia, która nie publikuje faktur, automatycznie traci kolejną transzę finansowania. Do tego trzeba dołożyć realne limity wydatków w kampanii, bo dziś wygrywa nie ten, kto ma najlepszy program, tylko ten, kto dysponuje większą machiną do produkcji billboardów i medialnego szumu.

Fundusz Kościelny, bonifikaty na ziemię i specjalne ulgi podatkowe to relikty przeszłości, które należy zlikwidować. Zamiast tego można wprowadzić system dobrowolnych darowizn od obywateli, gdzie każdy podatnik w rocznym zeznaniu decyduje, czy część jego podatku trafi na Kościół, organizację pozarządową czy inny cel społeczny. Pełna transparentność finansów kościelnych jest tu warunkiem koniecznym – skoro instytucja korzysta z publicznych pieniędzy, musi podlegać takiej samej kontroli jak każda fundacja. Francja zrobiła to ponad sto lat temu i świat się nie zawalił. Polska

Karta wolnego słowa: gwarancja pluralizmu na uczelniach

Powiedzmy to bez ceregieli. Demokracja bez reguł wolności słowa jest jak bar bez alkoholu: dużo dymu, żadnej zawartości. Sama wolność słowa nie jest jednak świętym medalikiem noszonym dla ozdoby. To narzędzie ostrzejsze niż nóż, które w nierozsądnych rękach potrafi kroić prawdę na plasterki tak cienkie, że zostaje tylko powietrze. W tym właśnie punkcie Hegseth, Adams i Erickson, mimo swojego amerykańskiego temperamentu, dotykają problemu absolutnie uniwersalnego. Gdzie kończy się obrona swobody, a zaczyna tchórzostwo wobec kłamstwa?

Proponuję zatem spisać coś, co nazwałbym Kartą Wolnego Słowa. Krótką, surową i jasną, bez grama nowomowy. Cztery proste reguły dla uczelni i parlamentów. Po pierwsze: uniwersytet nie knebluje głosów, o ile nie nawołują one do przemocy. Po drugie: każda kontrowersyjna wypowiedź może być równoważona kontrdebatą, ale nigdy zakazem. Po trzecie: instytucja nie zajmuje stanowisk światopoglądowych w imieniu wszystkich pracowników i studentów. Po czwarte: prawo do ochrony przed obrazą uczuć nie jest nadrzędne wobec prawa do dyskusji. Brzmi prosto? W polskich realiach to bomba. Bo jeśli rektor nie może odwołać wykładu z obawy przed petycją grupy oburzonych, nagle musi wziąć odpowiedzialność za autentyczny pluralizm. A pluralizm to nie pluszowa maskotka, lecz boks na słowa.

Przejdźmy do mediów, w których potrzebny jest kontrakt na rzecz przejrzystości. Nie będę owijał w bawełnę: polskie media przypominają rodzinę przy świątecznym stole, przy którym każdy wie, że wujek pije

wódkę z filiżanki, ale wszyscy udają, że to herbata. Czas na umowę, którą nazwałbym Matrycą Przejrzystości. Redakcja, która ją podpisuje, zobowiązuje się do prowadzenia jawnego dziennika korekt, opisu interesów każdego anonimowego źródła i wyraźnego oddzielenia komentarza od faktu. Oraz do jednej rzeczy, która jest najtrudniejsza: publikowania rocznych raportów z własnych błędów. Ktoś powie, że to utopia. Czyż nie jest większą utopią oczekiwanie, że ludzie będą ufać mediom, które nigdy nie dokonują rachunku sumienia? Hegseth miał rację: media stają się ramieniem politycznych machin, ale to my, czytelnicy, utrzymujemy ten system kliknięciami. Dlatego nowy kontrakt musi być obustronny: redakcja bierze na siebie odpowiedzialność, a odbiorca ma obowiązek sprawdzać, porównywać i karać obojętnością tych, którzy kłamią.

Nic tak nie rozbija wspólnoty jak wojny o słowa. „Płeć", „gender", „tożsamość" – w debacie publicznej to maczugi, a powinny być hasłami w słowniku. Adams i Erickson postulują powrót do biologii i logiki. I mają w tej kwestii rację, choć ton ich wywodu przypomina raczej kazanie na stadionie niż akademicką dyskusję. Logika wymaga precyzji, a Polska potrzebuje ustawowych definicji. Czym jest prawna zmiana płci, jakie skutki wywołuje ona w sporcie, medycynie i dokumentach? To nie jest dyskryminacja, lecz higiena prawa. Dopiero na tak oczyszczonym gruncie możemy debatować o wartościach. Bo gdy pojęcia są rozmyte, każdy krzyk staje się prawem, a każdy sprzeciw – przestępstwem. Wtedy państwo staje się zakładnikiem emocji.

Nie wierzysz w „głębokie państwo"? Bardzo dobrze, sceptycyzm to najlepsze szczepienie przeciw paranoi. Ale spójrz, jak działa polska administracja: resortowe księstewka, niejawne listy wpływów, dziura

Media publiczne: od tuby propagandowej do rzetelnej misji

„Media to ramię propagandy" – hasło prowokacyjne, ale trafia w czuły nerw. Boli nie dlatego, że w redakcjach rezydują spiskowcy, lecz dlatego, że pogoń za dramatem dawno wyparła cnoty solidnego rzemiosła. Gdy w sto dni potrafimy wyprodukować medialny wszechświat wokół jednego polityka, a potem dziwimy się, że publiczność widzi w nas tubę propagandową, to znaczy, że stawiamy katedrę na piasku. Lekcja jest prosta, a przez to trudna do wdrożenia: wielkie redakcje muszą na nowo skalibrować wewnętrzny kompas wstydu. Wstydu za puszczenie niesprawdzonego tekstu, za oparcie materiału na anonimowym źródle, za tytuł rozmijający się z treścią. Wstyd to przecież najzdrowszy mechanizm samonaprawczy.

Nasze media dźwigają dodatkowo grzech pierworodny w postaci wdrukowanej plemienności. Publiczne okładają prywatne, prywatne odgryzają się publicznym, a obywatel biega z wiadrem od studni do studni, szukając czystej wody. Wyjście istnieje i nie wymaga cudu, lecz inżynierskiej precyzji. Kodeks minimum to trzy proste mechanizmy: przejrzyste standardy pracy z anonimowym źródłem, zawsze z opisem jego interesu

i konkurencyjną wersją wydarzeń; system korekt widoczny jak dziennik okrętowy, z datą, zakresem zmian i przeprosinami; wreszcie rozdział informacji od komentarza cięty nożem, a nie jedwabną wstążką. Do tego zestawu narzędzi trzeba dołożyć jedną dyscyplinę: zakaz importowanych wojen kulturowych, gdzie redakcje ekscytują się memem z drugiego końca świata, podczas gdy własne państwo przecieka im przez palce. Mniej obyczajowych bitew z importu, więcej uwagi dla lokalnych budżetów, szpitali i przetargów. To się gorzej klika? Oczywiście. Ale zaufanie, budowane latami, klika się samo.

Progi referendalne: mechanizm kneblowania obywateli

W Polsce referendum to instrument, który istnieje wyłącznie na papierze. Próg 50% frekwencji w kraju, gdzie obywatele masowo bojkotują plebiscyty jako „partyjne ustawki", nie jest mechanizmem kontroli, lecz zaporą nie do przejścia. W rezultacie, nawet jeśli społeczeństwo chce zabrać głos, system knebluje je matematycznym absurdem. To tak, jakby lekarz uzależniał powodzenie operacji od tego, czy w poczekalni stawi się połowa wszystkich jego pacjentów. Równie absurdalne jest finansowanie partii, które miało być lekiem na korupcję, a stało się kroplówką podtrzymującą lenistwo. Zamiast zabiegać o realnych sponsorów i poparcie obywateli, ugrupowania podłączone są do budżetowego wlewu dożylnego, który utrzymuje je przy życiu niezależnie od jakości ich pracy. Kampanie są coraz droższe, a układów wcale nie ubyło, bo publiczne pieniądze i tak przepływają przez zaprzyjaźnione firmy, fundacje i agencje PR. To „czysta" kasa? Czysta jak ławka po solidnej ulewie.

Państwo polskie wciąż zachowuje się jak lokaj Kościoła – instytucji, która w świeckiej republice powinna być partnerem, a nie właścicielem. Fundusz Kościelny, ziemie oddawane za bezcen, ulgi podatkowe i etaty kapelanów w służbach mundurowych to dowody na to, że państwo klęczy. Absurd pogłębia fakt, że Kościół, zamiast tonować swoje roszczenia, sam nakręca spiralę politycznej protekcji. To nie jest konkordat, lecz klientelizm ubrany w sutannę. Równie iluzoryczny stał się trójpodział władzy, który dziś istnieje głównie w podręcznikach. Politycy bezwstydnie manipulują wymiarem sprawiedliwości, obsadzając kluczowe instytucje swoimi ludźmi. Obywatel, zamiast widzieć Temidę z opaską na oczach, patrzy na aktora w kostiumie odgrywającego rolę w politycznym teatrze. Efektem jest totalny upadek zaufania do sądów, bo kraj bez niezależnego sądownictwa to kraj, w którym prawo staje się gumą do żucia dla rządzących.

Problem pogłębia łączenie władzy ustawodawczej i wykonawczej. Posłowie w rządzie i ministrowie w parlamencie w teorii mają się nawzajem kontrolować, a w praktyce kontrolują samych siebie. To tak, jakby dyrektor szkoły sprawdzał klasówki, które sam napisał. Skutkiem są ustawy produkowane taśmowo niczym hot dogi na stacji benzynowej – bez debaty, bez refleksji, bez realnego udziału opozycji. Władza zlewa się w jedną masę, w której nikt nie ponosi odpowiedzialności. W tej mętnej wodzie kwitnie korupcja polityczna – ordynarny barter, w którym „poprzesuwanie budżetu" czy „stołek" kupuje się za głos w Sejmie. Obywatel

dostaje medialny spektakl, podczas gdy realne decyzje zapadają w korytarzach, w oparach skrywanego lobbingu. Wszyscy wiedzą, że on istnieje i że przepisy piszą prawnicy wynajęci przez wielki biznes, ale w Polsce to słowo nieprzyzwoite. Zamiast przejrzystych rejestrów i jawnych spotkań mamy mgłę interesów, w której najlepiej rosną fortuny tych, którzy mają najwięcej pieniędzy.

Polska nie potrzebuje dziś wielkich metafor o „sworzniu wolnego świata". Potrzebuje zwykłej latarki, bo klientelizm i nepotyzm karmią się ciemnością. Listy partyjne, media publiczne, progi referendalne, finansowanie partii, przywileje kościelne, sądy, łączenie władz, korupcja i lobbing – to nie są wyjątkowe patologie. To codzienny chleb tego systemu. System nie wymaga kosmetycznej reformy; wymaga amputacji gangreny. I tu właśnie pojawia się rola obywatela: albo zaakceptujemy, że demokracja jest grą w trzy karty, albo zaczniemy żądać przejrzystości jako prawa podstawowego. Jeśli demokracja w Polsce nadal będzie oparta na kolesiostwie, przestanie być demokracją, a stanie się tylko reality show.

Zdiagnozowaliśmy gangrenę, pora więc na amputację i protezy, które pozwolą demokracji chodzić prosto, a nie kuśtykać od afery do afery. To nie są utopijne mrzonki, lecz zestaw narzędzi, które z powodzeniem działają w innych państwach. Polska mogłaby je wdrożyć jutro, gdyby tylko ktoś miał odwagę przestać grać w teatrzyk. Pierwszym krokiem powinien być konstytucyjny obowiązek prawyborów. Dziś partie układają listy niczym didżeje playlisty – kto głośniej klaszcze wodzowi, ten jest wyżej. Każdy kandydat na posła musi przejść przez transparentne głosowanie członków partii lub obywateli rejestrujących się w okręgu. Wyniki powinny być jawne, a listy układane automatycznie na podstawie poparcia. To koniec z „jedynkami" dla pupili prezesa. Amerykanie od ponad wieku stosują system primaries, a Niemcy mają obowiązkowe głosowania wewnętrzne. Polska wciąż tkwi w epoce feudalnej nominacji.

Drugim narzędziem jest gruntowna przebudowa mediów publicznych, bo „likwidacja TVP" to tylko kosmetyka. Trzeba zmienić ich DNA, wzorując się na modelach BBC czy ARD. Oznacza to mieszane finansowanie z gwarancją ustawową, zarząd wybierany w otwartych konkursach z udziałem organizacji społecznych oraz zakaz reklam politycznych i obowiązek równego czasu antenowego. Co więcej, media publiczne powinny prowadzić ogólnodostępny portal fact-checkingowy, który na bieżąco weryfikuje wypowiedzi polityków, zwłaszcza rządzących. Dopiero wtedy przymiotnik „publiczne" zacznie oznaczać wspólne, a nie partyjne. Ostatni element to referendum, którego wynik musi być wiążący bez względu na frekwencję. Próg 50% frekwencji to ponury żart. Należy go znieść i uznać wynik za wiążący, jeśli głosowało np. więcej niż 10% uprawnionych. W Szwajcarii nikt nie boi się, że decyzje podejmuje mniejszość, bo referenda są częste i traktowane z powagą. W Polsce lepiej mieć 30% obywateli, którzy decydują, niż 100%, którzy z rezygnacją machają ręką.

Fakt vs. komentarz: standardy rzetelnego dziennikarstwa

Recepta jest prosta, przynajmniej w teorii. Odmłodzić konserwatyzm, tchnąć nowego ducha w amerykanizm, przywrócić na salony biologię i logikę. Zredukować opiekuńczość państwa, odbić uniwersytety, przestawić media z trybu „seek and destroy" na tryb „sprawdź, zanim wyemitujesz". W retoryce jest ogień, ale polityka potrzebuje instrukcji obsługi. Dla Polski praktyka zaczyna się tu, w NATO, gdzie amerykański sworzeń trzyma konstrukcję nad Wisłą; w Unii, gdzie regulacja zrasta się z ideologią; na uczelniach, które muszą przestać mylić komfort z cnotą. Odmłodzony konserwatyzm to nie festiwal knajackich bon motów, lecz kultura odpowiedzialności, która ceni wolność, ale rozumie, że słowo bywa nożem.

Zanim dokręcimy śruby, trzeba skalibrować klucze, czyli definicje, które odbezpieczają rozmowę. Establishment – nie demon, nie mem, lecz „ustanowiony porządek społeczeństwa" oraz „grupa kontrolująca dostęp do instytucji". To definicja neutralna, a przez to użyteczna. Amerykański wyjątek to nie dogmat religijny, lecz opis samorozumienia narodu, który wierzy, że jego instytucje są laboratorium wolności. Deep state to z kolei nazwa na inercję struktur; nie trzeba wierzyć w spiski, by widzieć, jak długie ogony biurokracji hamują zmiany. Gender to kategoria kulturowo-prawna, którą jedni chcą zbiologizować, a drudzy steologizować, podczas gdy rozsądna polityka chroni ludzi, nie rozpuszczając logiki prawa. Wolność słowa nie jest parasolem na grad kłamstw, ale też nie mandatem do cenzury; to obszar, gdzie trzeba mieć kręgosłup i uszy.

Na koniec cytaty, czyli dowody z laboratorium praktyki. „Niektóre z najczęściej powtarzanych twierdzeń dotyczących seksualności i płci nie są wspierane przez dowody naukowe" – pisali Lawrence S. Mayer i Paul R. McHugh, apelując o trzeźwość, a nie o pogromy. To nie jest kamień w okno, to pukanie do drzwi nauki, by wpuścić do debaty trochę tlenu. Z drugiej strony, badanie Shorenstein Center nie nawołuje do partyjnego marszu, lecz pokazuje, jak media same wpadły w pułapkę tonu, który zjadał powietrze innym sprawom. To nie wyrok na prasę, to lustro. I jeszcze definicja, która przywraca grawitację: „establishment to ustanowiony porządek społeczeństwa". Znaczy tyle, że nawet rewolucjoniści, jeśli wygrają, staną się nim jutro. Warto, żeby o tym pamiętali, pisząc swoje manifesty.

Państwo i Kościół: model autonomii i niezależności

Fundusz Kościelny, ziemie przekazywane z bonifikatą, ulgi podatkowe, etaty kapelanów w wojsku i policji. Państwo polskie konsekwentnie zachowuje się jak lokaj instytucji, która formalnie powinna być partnerem, a nie właścicielem. W świeckim państwie religia nie może posiadać statusu spółki Skarbu Państwa, tymczasem

absurd pogłębia fakt, że Kościół, zamiast tonować roszczenia, sam nakręca spiralę politycznej protekcji. To nie jest konkordat, to klientelizm ubrany w sutannę.

Rozkład władzy sądowniczej postępuje w najlepsze, sprowadzając sędziów do roli pionków na politycznej szachownicy. Trójpodział władzy istnieje dziś głównie w podręcznikach, bo w praktyce politycy bezwstydnie manipulują sądami, obsadzając kluczowe instytucje swoimi ludźmi. Obywatel, zamiast widzieć Temidę z opaską na oczach, patrzy na marny kostium aktora w teatrze politycznym. Efektem jest totalny brak zaufania do całego wymiaru sprawiedliwości, bo kraj bez niezależnych sądów to państwo, w którym prawo staje się gumą do żucia dla rządzących.

Łączenie władzy ustawodawczej i wykonawczej zamieniło Sejm w sekretariat rządu. Posłowie zasiadają w rządzie, ministrowie w parlamencie, a w teorii jedni mają kontrolować drugich. W praktyce kontrolują sami siebie, co przypomina sytuację, w której dyrektor szkoły sprawdza klasówki, które sam napisał. Skutkiem są ustawy klepane jak hot dogi na stacji benzynowej: bez debaty, bez głosu opozycji, bez jakiejkolwiek refleksji. Władza zlewa się w jedną breję, w której nikt nie ponosi za nic odpowiedzialności.

Korupcja polityczna przybrała formę ordynarnego barteru. „Poprzesuwamy budżet, damy ci stołek, załatwimy stanowisko, a ty zagłosujesz z nami". Tak wygląda kuchnia polityczna, w której transakcje nazywa się „polityką koalicyjną", choć w istocie są one handlem żywym towarem. Obywatelowi rzuca się ochłap w postaci medialnego spektaklu, podczas gdy realne decyzje zapadają w zakamarkach korytarzy, z dala od kamer.

Skrywanie ordynarnego lobbingu przypomina zmowę milczenia. Każdy wie, że on istnieje, i każdy widzi, jak przepisy piszą prawnicy z kancelarii wynajętych przez wielki biznes. W Polsce lobbing stał się słowem nieprzyzwoitym, niczym „prostytucja" w XIX wieku: niby nikt nie uprawia, a wszyscy wiedzą, kto, gdzie i za ile. Zamiast przejrzystych rejestrów, jawnych spotkań i publicznych raportów, mamy gęstą mgłę i półsłówka. W tej mgle najlepiej rosną interesy tych, którzy mają najwięcej pieniędzy.

Polska tu i teraz nie potrzebuje wielkich metafor o byciu „sworzniem wolnego świata". Polska potrzebuje zwykłej, mocnej latarki, bo kompromaty, klientelizm i nepotyzm karmią się ciemnością. Listy partyjne, media publiczne, progi referendalne, finansowanie partii, przywileje kościelne, sądy, łączenie władz, korupcja i lobbing – to nie są wyjątkowe patologie. To codzienny chleb tego systemu, który nie wymaga kosmetycznej reformy. Wymaga amputacji gangreny. I tu właśnie pojawia się rola obywatela: albo zaakceptujemy, że demokracja jest grą w trzy karty, albo zaczniemy żądać przejrzystości jako prawa podstawowego. Jeśli demokracja w Polsce nadal będzie oparta na kolesiostwie i szantażu, przestanie być demokracją, a stanie się jedynie reality show.

Zdiagnozowaliśmy gangrenę

Odmłodzony konserwatyzm: wartości dla nowego pokolenia

Najłatwiej jest krzyczeć: „odmłodzić konserwatyzm”, znacznie trudniej rozpisać ten okrzyk na nuty, które da się zagrać bez fałszu. Konserwatyzm odmłodzony to nie nostalgia w garniturze ani tania, tiktokowa poza. To system chłodnych reguł, które pozwalają wspólnocie działać jak dobrze naoliwiona maszyna: wolna, ale nie bezkarna; czuła, lecz nie miękka; dumna, ale nie zadufana. Hegseth, Adams i Erickson mają rację w jednym kluczowym punkcie – bez formatowania instytucji żadna, nawet najpiękniejsza narracja niczego nie dowiezie. Dlatego zamiast kolejnej tyrady proponuję trzy filary praktyki i ich polskie przełożenie, tak by z patosu „sworznia” została stal, a nie konfetti.

Państwo, które nie gra w chowanego, i prawo, które mówi pełnymi zdaniami, to fundament, przed którym każdy rząd udaje, że dawno zdał egzamin. Rządy prawa nie są jednak deklaracją z preambuły, lecz codziennym ruchem trybów, w którym liczą się jawność, przewidywalność i równość wobec norm. Amerykanie spierają się o „deep state”, my częściej mówimy o „układzie” czy „resortowej pamięci”, ale wspólny mianownik jest prozaiczny: procedury, które nie mają oczu, i urzędnicy, którzy mają zbyt dobre kontakty. Odmłodzony konserwatyzm nie karmi się tym, że „nasz człowiek załatwi”, tylko tym, że niczego nie trzeba załatwiać, bo każda sprawa ma swoją ścieżkę i czas. Brzmi to nudno, dlatego politycy wolą epatować hasłem, niż świecić metadanymi. A klucz tkwi właśnie tam: w publikowaniu decyzji wraz z uzasadnieniami, w domyślnej jawności przetargów, w rejestrach lobbingowych ze śladami spotkań i w surowym reżimie konfliktu interesów. To jest konserwatyzm w stroju roboczym – skórzane buty, a nie operetkowe kozaki.

W relacji z obywatelem oznacza to również jasne definicje. Jeśli wprowadzamy politykę płci w edukacji czy sporcie, musimy przestać żonglować słowami. „Płeć” w sensie biologicznym to cechy rozrodcze zapisane w ciele; „gender” to role i tożsamości społeczne; „dyskryminacja” to nie dyskomfort wobec cudzej opinii, lecz nierówne traktowanie w dostępie do dóbr. Gdy pojęcia są ostre, spory tracą temperaturę, bo nie podsyca ich mgła. Zawsze, gdy pojęcie traci granice, ktoś zyskuje władzę, żeby je dorysować flamastrami. Definiujmy więc z linijką, nie z flamastrem. Polskie przełożenie? Wystarczy zadać kilka niewygodnych pytań. Ile decyzji administracyjnych ląduje w koszu, bo nie mają uzasadnienia? Ile konkursów grantowych nie pozostawia po sobie ścieżki oceny, którą prześledziłby uczeń? Konserwatyzm, który nie boi się światła, jest młody. Stary jest tylko ten, który chowa się za zasłoną dymną.

Uniwersytet – w teorii fabryka krytycznego myślenia, w praktyce bywa placem zabaw z instrukcją obsługi emocji. Autorzy „The Case Against the Establishment” bez pardonu wyśmiewają „safe spaces” i „wussification”, czyli mięknięcie kręgosłupów w imię rzekomej delikatności. Ich retoryka jest ostra, bo musi przeciąć szum. Nawet gdy zdejmiemy z niej tę ostrość, zostaje pytanie, którego polska akademia nie uniknie:

co jest ważniejsze – ochrona komfortu czy ochrona rozmowy? Odpowiedź jest jedna: ochrona rozmowy, z precyzyjnymi bezpiecznikami wobec realnej przemocy

> Czy zdiagnozowanie gangreny wystarczy, by uratować polską demokrację? Czy jesteśmy gotowi na amputację i montaż protez, które pozwolą jej chodzić prosto? A może wciąż wolimy teatr iluzji, w którym kolesiostwo gra pierwsze skrzypce, a obywatele są tylko statystami w spektaklu pozorów?

Inspiracje

[1] **"The Case Against the Establishment"** Nick Adams, Pete Hegseth

2017 | Post Hill Press

Australijsko-amerykański konserwatywny komentator, autor i mówca motywacyjny. Założyciel Fundacji na rzecz Wolności i Amerykańskiej Wielkości (FLAG). Były najmłodszy zastępca burmistrza w historii Australii. Kandydat na ambasadora USA w Malezji.

Australian-American conservative commentator, author, and motivational speaker. Founder of the Foundation for Liberty and American Greatness (FLAG). Former youngest Deputy Mayor in Australian history. Nominee for US Ambassador to Malaysia.

Foundation for Liberty and American Greatness (FLAG)

Pete Hegseth jest amerykańskim urzędnikiem państwowym, autorem i byłym prezenterem telewizyjnym. Służył w Gwardii Narodowej Armii, biorąc udział w misjach w Guantanamo Bay, Iraku i Afganistanie. Był komentatorem Fox News i współprowadzącym Fox & Friends Weekend. Obecnie jest 29. Sekretarzem Obrony Stanów Zjednoczonych.

***Pete Hegseth** is an American government official, author, and former television personality. He served in the Army National Guard with deployments to Guantanamo Bay, Iraq, and Afghanistan. He was a Fox News contributor and co-hosted Fox & Friends Weekend. He is currently the 29th United States Secretary of Defense.*

U.S. Department of War

Literatura uzupełniająca

Książki

Autorzy przywoływani w artykule:

[1] **"Retaking America: Crushing Political Correctness"**

Nick Adams

2017 | Post Hill Press

[2] **"Trump and Churchill: Defenders of Western Civilization"**

Nick Adams

2020 | Post Hill Press

[3] **"Class Dismissed: Why College Isn't the Answer"**

Nick Adams

2019 | Post Hill Press

[4] **"Green Card Warrior: My Quest for Legal Immigration in an Illegals' System"**

Nick Adams

2016 | Post Hill Press

[5] **"The War on Warriors: Behind the Betrayal of the Men Who Keep Us Free"**

Pete Hegseth

2024 | HarperCollins

Google Scholar

[6] **"Battle for the American Mind: Uprooting a Century of Miseducation"**

Pete Hegseth, David Goodwin

2022 | HarperCollins

Literatura pokrewna (Google Scholar):

[7] **"A Higher Loyalty: Truth, Lies, and Leadership"**

James Comey

2018 | Flatiron Books

[8] **"Saving Justice: Truth, Transparency, and Trust"**

James Comey

2021 | Flatiron Books

[9] **"The Mind Has Mountains: Reflections on Society and Psychiatry"**

Paul R. McHugh

[10] **"The Establishment: And How They Get Away With It"**

Owen Jones

2014 | Penguin Books

[11] **"The Cancel Culture Panic: How an American Obsession Went Global"**

Adrian Daub

2020 | Stanford University Press

Google Scholar

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] **"Cancel Culture: Unveiling the Dark Side of Social Media for Brands – A Systematic Literature Review"**

A. Z. Abbasi, D. Abdelwahab, A. N. Abdul-Talib, I. Abosag

2024 | Asia-Pacific Journal of Business Administration

[2] **"The Impact of Media in Cancel Culture Phenomenon"**

Graciela Bianca Jaafar, Herna Herna

2023 | Jurnal komunikasi ikatan sarjana komunik

[3] **"Sexuality and Gender: Findings from the Biological, Psychological, and Social Sciences"**

Lawrence S. Mayer, Paul R. McHugh

2016 | The New Atlantis

Google Scholar

[4] **"Mini-Mental State: A Practical Method for Grading the Cognitive State of Patients for the Clinician"**

M. F. Folstein, S. E. Folstein, Paul R. McHugh

1975

Fundacja Dobre Państwo © 2026

Article ID: 9eb064c1-85c4-4fd0-98ed-ab7211c65af3